

3.

Jednak parę sowych jajek nie zdołało na długo pogrzebać mojej ciekawości. Już następnego dnia znów płątałem się po obrzeżach lasu i chciwie zerkałem w stronę wioski. Był ze mną mój przyjaciel Pärt i to on powiedział w końcu:

– Co będziemy się tak kręcić z dala, podejźmy bliżej.

Jego pomysł wydał mi się zbyt niebezpieczny. Na samą myśl serce zaczęło mi mocniej bić. Pärt też nie wyglądał na odważnego, gapił się na mnie z taką miną, jakby miał nadzieję, że pokręcę głową i powiem nie. Pewnie sam przestraszył się własnych słów. Lecz ja, zamiast odmówić, odparłem:

– To chodźmy.

Poczułem się, jakby czekał mnie skok w głąb ciemnego, leśnego jeziora. Zrobiliśmy parę kroków i zatrzymaliśmy się z wahaniem. Spojrzałem na przyjaciela; był blady.

– Idziemy dalej? – zapytał.

– No, chyba.

Ruszyliśmy z duszą na ramieniu. Pierwsza chata była dość blisko, lecz na szczęście nie dostrzegliśmy żadnego człowieka. Nie umówiliśmy się z Pärtem, jak daleko się zapuścimy. Czy pod same domostwa? I co potem: zajrzemy do środka? Na to chyba byśmy się nie odważyli. Zbierało mi się na płacz, miałem ochotę czym prędzej czmychnąć z powrotem do lasu, ale mój przyjaciel szedł obok mnie i nie mogłem okazać tchórzostwa. On pewnie myślał to samo, bo słyszałem, że od

czasu do czasu chlipał pod nosem. Pomimo tego, jak zaczarowani, posuwaliśmy się naprzód.

Wtem z chaty wyszła dziewczyna, mniej więcej w naszym wieku. Stanęliśmy jak wryci. Gdyby naszym oczom ukazał się ktoś dorosły, pobieglibyśmy pewnie z wrzaskiem z powrotem, ale dlaczego mielibyśmy się bać dziewczyny niestarszej od nas. Nie wydawała się groźna, nawet jeśli była z wioski. Zachowaliśmy jednak ostrożność i nie podchodziliśmy bliżej.

Dziewczyna też się w nas wpatrywała. Wyglądało na to, że w ogóle się nas nie bała.

– Przyszliście z lasu? – spytała.

Skinęliśmy głowami.

– Zamieszkacie tu?

– Nie – powiedział Pärt, a ja wykorzystałem sposobność, żeby się nieco pochwalić i oznajmiłem, że już kiedyś mieszkalem we wsi, ale się z niej wynieśliśmy.

– Dlaczego? – zdumiała się dziewczyna. – Nikt nie wraca do lasu, wszyscy przychodzą stamtąd tutaj. W lesie mieszkają tylko głupcy.

– Sama jesteś głupia – wypaliłem.

– Nie, ty jesteś głupi. Wszyscy wiedzą, że to głupota żyć w lesie. Spójrz, co wy na sobie macie! Skóry! To wstrętne! Jak zwierzęta!

Porównaliśmy odzienie swoje i dziewczyny i musieliśmy przyznać, że ma rację: nasze okrycia z wilczej i sarniej skóry były znacznie brzydsze i wisały na nas jak na kij. Ona za to miała na sobie długą i cienką koszulinę, która nie przypominała skóry żadnego zwierzęcia, była za to delikatna i poruszała się lekko na wietrze.

– Z jakiej to skóry? – zapytał Pärt.

– To nie skóra, to jest tkanina – odparła dziewczyna. – To się тка.

Nic z tego nie zrozumieliśmy. Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Nie wiecie, co to jest?! – zawołała. – Nie widzieliście nigdy krosna? Ani kołowrotka? Chodźcie, pokażę wam.

Jej zaproszenie nas przeraziło, ale zarazem wydało się kuszące. Spojrzeliśmy z Pärtem po sobie i postanowiliśmy się odważyć. Musieliśmy zobaczyć te rzeczy o dziwnie brzmiących nazwach. I co mogłoby nam grozić ze strony jednej dziewczyny, byliśmy przecież we dwóch. Oczywiście, gdyby w jej chacie czaił się ktoś jeszcze...

– Jest tam ktoś? – spytałem.

– Nikt. Jestem sama, inni są na sianokosach.

Znów jakieś niezrozumiałe słowo, lecz nie chcieliśmy sprawić wrażenia tępych, skinęliśmy więc tylko głowami, jakbyśmy doskonale wiedzieli, co to są te sianokosy. Wzięliśmy głęboki oddech i weszliśmy do chaty.

Przywitał nas zdumiewający widok. W oczach aż zaroilo się nam od przedziwnych sprzętów, których izba była pełna. Stanęliśmy jak wryci, nie śmieliśmy zrobić kroku. Dziewczyna za to czuła się jak ryba w wodzie. Cieszyła się, że może przed nami zagrać ważną.

– A to jest właśnie kołowrotek – powiedziała i poklepała najcudacznieszą rzecz, jaką widziałem w życiu. – Na tym się przędzie. Ja już potrafię prząść, chcecie zobaczyć?

Bąknęliśmy coś w odpowiedzi. Dziewczyna zasiadła za kołowrotkiem, a dziwadło zaczęło się kręcić i szumieć. Pärt westchnął z zachwytem:

– Byczo! – wymamrotał.

– Podoba się wam? – Dziewczyna nie kryła zadowolenia. – No, dobrze, już nie chce mi się prząść. – Podniosła się. – Co wam jeszcze pokazać? Proszę, łopata do chleba.

Łopata do chleba też zrobiła na nas wielkie wrażenie.

– A to? – spytałem, wskazując na ścianę, na której wisiał zagadkowy przedmiot w kształcie krzyża z przymocowaną figurką człowieka.

– To Jezus Chrystus, nasz Bóg – zabrzmiał jakiś głos. Nie należał do dziewczyny, a do mężczyzny. Pисnęliśmy z Pärtem jak myszy i chcieliśmy wypaść przez otwarte drzwi, ale nas złapano.

– Nie uciekajcie. Po co się tak gorączkować. Jesteście z lasu, prawda? Spokojnie, chłopcy, nie stanie się wam krzywda.

– To mój ojciec – rzekła dziewczyna. – Co z wami, dlaczego się tak boicie?

Wpatrywaliśmy się bojaźliwie w mężczyznę, który wszedł do izby. Był wysoki i wyglądał wspaniale ze swoją złocistą brodą i włosami. Również jego odzienie wzbudzało zazdrość w naszych oczach: miał na sobie jasną koszulę, takiego samego koloru spodnie, a na szyi zawieszony mały krzyż, przypominający ten, który zauważyłem na ścianie.

– Powiedzcie, dużo was jeszcze żyje tam w lasach? – zapytał. – Przekażcie, proszę, rodzicom, żeby porzucili swój upór! Wszyscy rozumni ludzie przenoszą się do wsi. To niepojęte, by w naszym stuleciu żyć w mrocznych gąszczach i pozbawiać się dobrodziejstw, jakie daje prawdziwa wiedza. Aż żal pomyśleć o tych nieszczęśnikach, którzy biedują w swych jamach, podczas gdy inne narody mieszkają sobie w zamkach i pałacach! Dlaczego to nasi muszą być gorsi? My też chcemy zasmakować tych samych przyjemności co inni! Przekażcie to swoim ojcom. Jeśli nie myślą o sobie, to mogliby przynajmniej ulitować się nad wami. Co z was wyrośnie, jeśli nie nauczycie się mówić po niemiecku i służyć Jezusowi?

Nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć na tę przemowę, a cudaczne słowa, jak „zamki” i „pałace” znów wprowadziły nasze serca w drzenie. Z pewnością musiały oznaczać coś jeszcze wspanialszego niż kołowrotek i łopata do chleba. Ach, jak chcielibyśmy je zobaczyć! Może naprawdę trzeba uprosić nasze matki, byśmy mogli choć od czasu do czasu chodzić do wsi i napatrzeć się na te wszystkie dziwy.

– Jak się nazywacie? – zapytał mężczyzna.

Wymamrotaliśmy swoje imiona. Mężczyzna poklepał nas po ramionach.

– Pärt i Leemet – po pogańsku. Gdy tu zamieszkacie, ochrzczimy was i dostaniecie imiona z Biblii. Ja na przykład nazywałem się kiedyś Vambola, ale już od wielu lat noszę imię Johannes. A moja córka to Magdaleena. Czyż nie pięknie? Wszystkie biblijne imiona są piękne. Cały świat je nosi, wielcy synowie i urodziwe córki wielkich narodów. I my, Estończycy, też powinniśmy. Mądry naśladuje mądrych, a nie ucieka przed nimi jak zbiegłe z zagrody prosię.

Johannes poklepał nas po policzkach i wypuścił z chaty.

– Idźcie do domów, porozmawiajcie z rodzicami. I wracajcie szybko. Wszyscy Estończycy powinni wyjść z tych ciemnych lasów, do słońca, do wiatru, bo on przynosi nam mądrość dalekich krain. Jestem sołtysem tej wsi, czekam tu na was. I Magdaleena będzie na was czekać, moglibyście się razem bawić, a w niedzielę modlić w kościele do Boga. Do zobaczenia, chłopcy! Niech Pan ma was w swojej opiece!

Widać było, że Pärta coś męczy, parę razy otwierał usta, ale nie zdołał wydobyć z siebie głosu. W końcu, gdy już naprawdę zaczęliśmy się zbierać, nie wytrzymał i zapytał:

– So... Sołtysie, a co to za kij? Ten z kolcami?

– To są grabie! – odparł Johannes ze śmiechem. – Gdy zamieszkasz z nami we wsi, też takie dostaniesz.

Na twarzy Pärta pojawił się szeroki uśmiech. I ruszyliśmy z powrotem do lasu.

